

Grzegorz Górny: Ograniczenie religii do sfery prywatnej kończy się jej zanikiem

Na Zachodzie żywe chrześcijaństwo stało się najpierw chrześcijaństwem kulturowym, ograniczonym do akceptacji i zrozumienia obyczajów i ich symboliki, a teraz zanika już nawet w tym wymiarze. Sam spotykałem młodych Belgów, którzy widząc obraz Jezusa w koronie cierniowej nie byli w stanie zidentyfikować przedstawionej postaci. To pokazuje, że prywatyzacja wiary jest więc etapem jej wymierania – mówi Grzegorz Górny w rozmowie z Karolem Grabiasem dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Projekt: sekularyzacja”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): Zgodnie z socjologiczną teorią sekularyzacji religijność społeczeństwa powinna spadać wraz z rozwojem technologii, ekonomii i dostępem do edukacji. Gdzie Pan upatruje głównych przyczyn współczesnego laicyzmu?

Grzegorz Górny (publicysta, dziennikarz i producent filmowy): Należy pamiętać, że tę teorię stworzył Max Weber na początku XX w. Twierdził on, że wraz z rozwojem cywilizacyjnym społeczeństw będzie się dokonywać, jak on to nazywał, „odczarowywanie świata” (niem. *die Entzauberung der Welt*). Widać jednak, że ta koncepcja nie wszędzie się sprawdza. Pokazuje to przykład USA, gdzie wciąż widzimy jedno najbardziej religijnych społeczeństw świata zachodniego. Nie znaczy to oczywiście, że nie podlega ono zmianom: w Stanach Zjednoczonych obserwujemy odpływy i przyływy religijności. W latach 30. nastął odpływ wiary a w latach 50. przyływ. Potem

byliśmy świadkami dwóch rewolucji o odmiennych wektorach: seksualnej w latach 60., która uderzała w tradycyjną religijność, oraz konserwatywnej w dobie prezydentury Ronalda Reagana w latach 80., która sprzyjała powrotowi wiary, przynajmniej w sferze obyczajowej. To pokazuje, że sekularyzacja nie jest procesem jednostronnym, prostym i nieodwracalnym. Ma ona swoje fazy, swoją nieprzewidywalną dynamikę. Ciekawe jest to, że w krajach spoza cywilizacji zachodniej ten sekularny model nie koniecznie się sprawdza: widać to gołym okiem, gdy choćby spojrzymy na Koreę Południową, gdzie wzrost religijności społeczeństwa idzie w parze z rozwojem technologicznym. To dowód na to, że rozwój społeczny o niczym nie przesądza. Według mnie większą rolę odgrywają głębokie zmiany kulturowe. Jak mówił Thomas Eliot: polityka jest funkcją kultury, a sercem kultury jest religia. Dlatego myślę, że współczesny laicyzm, który obecnie obserwujemy, bierze w większym stopniu z przemian kulturowych i duchowych niż z gospodarczych i technologicznych.

Co w takim razie dzieje się w naszej kulturze, w jej podszewce, że sekularyzacja jest jednym z wiodących nurtów kształtujących obraz świata?

Uważam, że na najgłębszym poziomie są to pewne wybory religijne i duchowe dokonywane w wymiarze osobistym. One dopiero później przekładają się na pewne zmiany społeczne. Dotyczy to przede wszystkim elit kulturowych, które poprzez ośrodki opiniotwórcze – media i instytucje kultury – tworzą wzory postępowania, myślenia: kompleksowe kody kulturowe. I stopniowo narzucają ten światopogląd całemu społeczeństwu. Można powiedzieć, że w ten sposób jest realizowana strategia Antonio Gramsciego, jego słynny „marsz przez instytucje”: by zmieniać społeczeństwo nie przez rewolucję, odgórnie – przez konkretne polityki – ale właśnie poprzez kulturę. I to w tej chwili obserwujemy: ostrze rewolucji kulturowej jest wymierzona głównie w chrześcijaństwo, co jest zgodne ze strategią Gramsciego. Mówił on przecież, że marksizm jest negacją chrześcijaństwa w teorii i likwidacją w praktyce.

Dlatego też, w kontekście laicyzacji, możemy mówić, że to nie jest wynik wyłącznie bezosobowych sił, historycznego determinizmu, nieubłaganej konieczności dziejowej. To również efekt świadomej i precyzyjnej działalności całych środowisk intelektualnych. O tym przecież mówił Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei”.

Trudno nie zapytać tu o kontekst Polski. Jak wskazują najnowsze badania, Polacy wciąż są społeczeństwem, w którym znaczna większość deklaruje się jako osoby wierzące. Z czego to wynika nasza odporność na sekularyzm?

To wynika, po pierwsze, z pewnych doświadczeń historycznych: Kościół odgrywał w Polsce o wiele ważniejszą rolę, niż w innych krajach europejskich. Był strażnikiem i depozytariuszem polskiej tożsamości narodowej w czasach, gdy byliśmy pozbawieni państwa. Po drugie, forma katolicka ukształtowała polskość jako taką. Polska poza katolicyzmem nie istniała, nie mamy żadnej odnotowanej historii przed przyjęciem chrześcijaństwa. Dlatego nastąpiła tak silna symbioza między polskością a katolicyzmem, która uległa wzmocnieniu na przestrzeni ostatnich ponad dwustu lat, gdy straciliśmy niepodległość. Ten okres został jeszcze przedłużony przez pontyfikat Jana Pawła II: w związku z tym procesy sekularyzacyjne docierały do nas z pewnym opóźnieniem. Zarówno przez zabory, jak i okres komunizmu. Widzimy przecież, że ten świecki walec próbuje rozjechać polski katolicyzm, ale trzymamy się wobec niego znacznie lepiej, niż na przykład katolicy w Irlandzki czy Hiszpanii. Tam w znacznej mierze doszło do utożsamienia państwa i wiary religijnej, z kolei u nas silniejsze było powiązanie religii z narodem. To jest o tyle ważne, że w krajach, w których kościół korzystał z parasola ochronnego państwa, tam odwykł on od stawiania czoła wyzwaniom współczesności. Tam, gdzie państwa zabrakło, kościół znajdował się w nieustannej konfrontacji z władzami – tak było w Polsce niemal przez dwa stulecia – dlatego wykształcił w sobie umiejętność odnajdywania się w niesprzyjających okolicznościach. I

dziś, na tym wolnym rynku idei, w świecie pluralistycznym, radzi sobie lepiej, niż kościół hiszpański, który po upadku frankizmu wciąż ma trudności z radzeniem sobie bez parasola ochronnego państwa. Jest tu więc kilka czynników, które sprawiają, że w Polsce religijność trzyma się mocniej. Co oczywiście nie oznacza, że nie jest podmywana.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

O ile religijność pokoleń wychowanych przed 1989 r. jest stabilna, to pokolenia młodsze coraz rzadziej przyznają się do wiary. Czy chrześcijaństwo jest skazane na przegraną w dobie cyfrowej kultury przesytu?

Absolutnie nie jest skazane na porażkę, jednak z pewnością trzeba przemyśleć nowe formy ewangelizacji i duszpasterstwa dostosowane do nowych czasów. Żyjemy w zupełnie innych warunkach cywilizacyjnych, kulturowych i religijnych, niż jeszcze 20 czy 30 lat temu. Wynika to nie tylko z tego, że upadł komunizm, ale również dlatego, że zmienia się oblicze kapitalizmu – zwłaszcza rzeczywistość cyfrowa, która powoduje, że młodzi ludzie mają zupełnie inny model kontaktu nie tylko z kościołem, ale między sobą i z rzeczywistością. I to jest pytanie, na które do końca nie są w stanie odpowiedzieć nawet teoretycy komunikacji społecznej. Słynny naukowiec Marshall McLuhan nie przewidział choćby tego, że media będą funkcjonować 24 godziny na dobę i będą dostępne na wyciągnięcie naszej ręki – a przede wszystkim tego, że będziemy nie tylko odbiorcami treści, ale również ich nadawcami i każdy będzie mógł pełnić równocześnie obie role. Refleksja intelektualna nie nadąża dziś za przemianami technologicznymi, nie tylko na polu religii, ale praktycznie w każdej dziedzinie kultury, jak choćby świadomości prawnej. Trzeba na nowo przemyśleć obecność Kościoła w tej

zmieniającej się sytuacji. Widać, że najbardziej żywotny Kościół jest tam, gdzie dociera bezpośrednio do ludzi i tworzy wspólnoty, w których prowadzona jest głęboka formacja duchowa. Model masowego duszpasterstwa odchodzi w przeszłość. I w tej sytuacji najważniejsze jest to, żeby mądrze odpowiedzieć na te przemiany cywilizacyjne, nie rezygnując z centralnych dla wiary treści, ale przyjmując adekwatną formę. Należy wrócić do doświadczenia pierwszych chrześcijan, którzy mieli naprzeciwko siebie cywilizację pogańską, obojętną lub wrogą chrześcijaństwu. W związku z tym konieczny jest powrót to kerygmatu, jak też przeformułowanie katechezy – bardziej w stronę ścieżki inicjacyjnej i doświadczenia prawdy wiary. Tylko pogłębienie tej drogi gwarantuje to, że w zderzeniu z laickim światem religijność nie rozpadnie się jak domek z kart.

Tu pojawia się problem strategii ewangelizacji w laickim świecie. Francuski politolog Olivier Roy niedawno przestrzegał przed „tożsamościową wizją chrześcijaństwa”. Czy idea odwoływanie się do chrześcijańskich korzeni Europy jest taktyką, która może zbliżyć ludzi do wiary?

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że powoływanie się na chrześcijańskie korzenie Europy nie ma charakteru wyłącznie religijnego, ale również historyczny. Ignorowanie tego nie jest wyborem religijnym, ale zwykłym błędem poznawczym. Taka po prostu jest prawda: jeśli przyjmiemy, że nauka – w tym historia – ma opierać się na prawdzie, to nie możemy wówczas zaprzeczać takim oczywistościom. Samoświadomość Europejczyków, by nie być fałszywa, musi to uwzględniać. Dziś wśród elit europejskich dominuje jednak światopogląd postmodernistyczny, który za Baudrillardem przyjmuje, że żyjemy w świecie symulaków, kopii bez oryginału. Dlatego ludzie nie mają świadomości źródeł swojej kultury: obchodzą Boże Narodzenie czy Wielkanoc jako wolny dzień, okazję do dawania sobie prezentów i najedzenia się, nie zdając sobie sprawy, jaki duchowy wymiar się za nimi kryje.

Abstrahując nawet od religii, chodzi tu więc o pewną samoświadomość własnych korzeni. Przecież w obrębie rodziny dojrzała osoba interesuje się tym, kim był jego dziadek, pradziadek, jak wygląda jej drzewo genealogiczne. Tak samo, będąc dojrzałym członkiem wspólnoty kulturowej, powinniśmy pytać o jej korzenie – w tym wypadku o źródła europejskości.

Powoływanie się na chrześcijańskie korzenie Europy nie ma charakteru wyłącznie religijnego, ale również historyczny. Ignorowanie tego nie jest wyborem religijnym, ale zwykłym błędem poznawczym

Jest też drugi aspekt tego zjawiska, który ma charakter nie tyle społeczny i kulturowy, ile wprost religijny: jak dalece prawomocny jest powrót do naszych chrześcijańskich źródeł? Ja uważam, że jest on

usprawiedliwiony obecnym kontekstem cywilizacyjnym: zderzeniem współczesnego chrześcijaństwa z cywilizacją, która jest w istocie pogańska. I mając to na myśli, gdy czyta się ojców kościoła – Grzegorza z Nazjanzu, Bazylego Wielkiego czy Cyryla z Aleksandrii – to nagle oni się okazują szalenie aktualni. Można czytać ich traktaty jako instrukcje postępowania w czasach nam współczesnych. Widać, że pewne dylematy duchowe, które były ich udziałem i ich frapowały, nie są nam dziś obce. W tym sensie ten powrót do korzeni może mieć zupełnie inny, bardziej duszpasterski i duchowy wymiar, nie zaś tylko historyczny.

Tak jak u łacińskich początków, wiara chrześcijańska jest obecnie akceptowana: dopóki nie stara się wyjść z ukrycia. A prywatyzacja wiary jest przecież jednym z aspektów sekularyzacji. Jak religia powinna radzić sobie w życiu publicznym, z którego jest wykluczana?

Praktyka pokazuje, że ograniczanie religii do sfery prywatnej kończy się jej zanikiem. Na Zachodzie żywe chrześcijaństwo stało się najpierw chrześcijaństwem kulturowym, ograniczonym do akceptacji i zrozumienia obyczajów i ich symboliki, a teraz zanika już nawet w tym wymiarze. Sam spotykałem młodych Belgów, którzy widząc obraz Jezusa w koronie cierniowej nie byli w stanie zidentyfikować przedstawionej postaci. Gdy zaś słyszeli jego imię, wówczas pytali: kim on w zasadzie był? To pokazuje, że prywatyzacja wiary jest więc etapem jej wymierania: zarówno w dziedzinie samoświadomości jednostek, na poziomie osobowym, jak i na poziomie społeczno-kulturowym. Sama istota wiary chrześcijańskiej zakłada jej uniwersalność i jedność zbawczą. Za tym idzie imperatyw dzielenia się tym dobrem – największym, jakie jest nam dane, bo związanym z obietnicą życia wiecznego – z innymi. Jest to w końcu zawarte w samym nakazie Zbawiciela: idźcie i nauczajcie wszystkie narody. Chrześcijaństwo nie może więc rezygnować z misyjności, z wychodzenia na forum publiczne, bo inaczej rezygnowałoby ze swojej własnej tożsamości. Widzimy, że w tych okresach, kiedy Kościół wychodził poza swój obręb, śmieiej manifestował swoją obecność w życiu publicznym, wtedy zyskiwał nowych wiernych, a przestrzeń ewangelizacji się poszerzała. Jestem przekonany, że nie ma innej drogi przed kościołem, niż wychodzenie na zewnątrz. Jedyne pytanie brzmi: w jaki sposób ma to robić? I tu widać jasno, że dziś największe wrażenie – i było tak zawsze – robi osobiste świadectwo wiary. Ta obecność w życiu publicznym powinna się opierać na osobistej odpowiedzialności każdej osoby wierzącej, czyli możliwie najszerszym dawaniu własnego świadectwa wiary.

Rozmawiał Karol Grabias